

Patriotyczny paw

18 maja 2013

Patriotyzm, zarówno ten w kolorze biało-czerwonym, jak i różowym, jako uczucie jest zły i szkodliwy, a jako doktryna bezsensowny[1].

Z miłością do ojczyzny jest tak, jak z każdą inną miłością. Albo człowieka trafi strzała Amora, wprowadzając w drgania patriotyczne feromony, albo niekoniecznie. Kochanie własnego kraju za pomocą szarych komórek nigdy nie zdaje egzaminu. Miłość jest irracjonalna i na poziomie psychologicznym ociera się o szaleństwo.

Zdrowe, racjonalnie myślące społeczeństwo wszystkich zakochanych w sobie, innych, kraju, historii, hobby lub piłce kopanej powinno wrzucać w kaftany bezpieczeństwa i izolować. Zakochani bowiem stanowią zagrożenie dla siebie, a przede wszystkim dla innych. Albo – jak nieszczęśliwie zakochany w Lotcie Werter – strzelają sobie w głowę, albo – jak szczęśliwie zakochani w ojczyźnie przez duże „O” mali patrioci – urządzają powstanie warszawskie, które było samobójstwem kolektywnym. Albo też – jak zakochani w okrągłym przedmiocie kopanym przez innych mężczyzn – organizują walki na pięści, maczety lub noże, co też jest formą samobójstwa, tyle że w afekcie.

Z miłością do ojczyzny jest nawet trudniej niż z miłością do przedstawiciela płci przeciwnej lub tej samej. O tę drugą dba matka natura, wyposażając osobniki homo sapiens w pociąg seksualny, dzięki któremu nawet człowiek z natury oziębły popada w miłosne szaleństwo systematycznie, w każdy weekend wzmacniając amory procentami w pubie lub ostrygami w knajpie. O ojczyźnie matka natura i ewolucja zapomniały. Człowiek musi sobie radzić sam, licząc na szkolne akademie, dziadka, kościół i TV Trwam, które u niektórych patriotyczne feromony pobudzają, a na innych działają jak pigułka antypatriotyczna.

Być może właśnie przez wieloletnią edukację Polska nie wzbudzała we mnie żadnego zachwytu. Przeciwnie. Machanie flagami i wiersze Mickiewicza budziły tylko zażenowanie. Śmiałem się z polskiej megalomanii i świętowania przegranych powstań. Na schabowe i kaszanke reagowałem alergicznie. Hymn narodowy czemuś mnie śmieszy, na ptaki mam uczulenie i odrzuca mnie od indyka, coś dopiero mówić o orle. Połączenie bieli z czerwienią razi zaś estetycznie. Wolę lilaróż z brązem. Patriotyzm uważam za analogowy. Jak mnie ktoś zapyta: „Kto ty jesteś i jaki znak twój?”, to podam mu swój e-mail. W wyniku długiej zimy oraz długich namów partnerki pojechałem na weekend do Włoch i wszystko się zmieniło.

Zatrzymałem się w przytulnym hotelu we Florencji, który upodobałi sobie także inni Polacy. Kosmopolici. Przy śniadaniu jedna z turystek stwierdziła: „Czyż nie jest tu pięknie?”. „Jest bardzo pięknie” – przytaknąłem. „O wiele lepiej niż w Polsce” – dodał jej chłopak. „W Polsce nie ma nic, co mogłoby się równać z tym krajem” – westchnęła dziewczyna. „Oprócz ton śmieci” – stwierdziłem złośliwie. Spojrzeli na mnie jak na kosmitę.

Przy DUOMO, najbardziej znanej atrakcji turystycznej Florencji, handlarze rozkładają dziesiątki stoisk z tysiącami bibelotów. Na straganach leżą podrabiane okulary, podrabiane markowe ubrania, garnki, żelazka, odkurzacze, sztuczne futra itp.

„Jak pięknie” – wzdychała polska kosmopolitka. „Czuć duszę miasta. W Polsce nie ma nic podobnego” – dodawał jej kosmopolityczny chłopak. „Rzeczywiście” – pomyślałem, gdyż bałem się odezwać. – „Odkąd zamknęli bazar na stadionie X-lecia”.

Przemierzając uliczki, mijając sklepiki, restauracje i bary, kosmopolici byli coraz bardziej zachwyceni. Nawiazała się nawet poważna dyskusja na temat niewyobrażalnego konsumpcjonizmu w Polsce. Turyści z niesmakiem opowiadali o

szale zakupów, pogoni za wyprzedażami, fascynacją zachodnimi markami. „Tutaj widać przywiązanie do tradycji, lokalnych produktów, osiedlowych sklepików” – mówiło któreś z nich, przechodząc obok wielkiej reklamy GUCCI, mijając tłum Włochów ubranych w ciuchy GUCCI, noszących okulary GUCCI i trzymających torby z napisem GUCCI.

„W Polsce nie ma nic podobnego” – powtórzył chłopak kosmopolita, siedząc na ławce i karmiąc gołębie. „Owszem, jest” – odpowiedziałem. – „Nazywa się park”.

Może to był jet lag. Może sugar rush. A może po prostu amoropatriotyczna strzała w końcu trafiła w moją łydkę. Poczuję dziwne, nieznane mi uczucie. Uczucie rodzącego się patriotyzmu, które jest podobne do stanu po przedawkowaniu kofeiny. Zacząłem bronić Polaków i polskości, a Italia, którą uwielbiałem od momentu, kiedy pierwszy raz spróbowałem prawdziwych włoskich lodów, wydała mi się nagle ksenofobiczna, brudna i kiczowata. Powtórnie zakochałem się w Polsce. Zatęskniłem za polskimi łąkami, górami i bigosem tak bardzo, że pojechałem do domu. Tego domu.

W Polsce trwał właśnie majowy weekend patriotyzmu. W dwóch wersjach. Tradycyjnej – posępno-martyrologicznej – i nowoczesnej – różowo-fajowskiej z orłem w niezjadliwej czekoladzie. Ten pierwszy, podszyty nacjonalizmem, wydaje się czymś skrajnym, niewspółczesnym, antydemokratycznym, ciasnym, zacietrzewionym, szemranym. Ten drugi, lukrowany PR-owskim pudrem, pachnie żenadą, korporacją i smaży się w swojskim sosie sztuczności. Obie te wersje celebrowania uniesień patriotycznych są niezjadliwe.

Przebywając na emigracji, człowiek w chwilach napadu melancholii uwalnia nostalgię. Ojczyzna, tak jak pierwsza kochanka, jawi się jako wyidealizowana piękność, bogini dająca poczucie spełnienia, szczęście i orgazm. Nostalgia infekuje wspomnienia. Człowiek zapomina, że w rzeczywistości miał do czynienia z maszkarą z krzywymi nogami, bez zęba na przedzie i

z łupieżem na głowie. Propagowanie patriotyzmu smętnymi pochodami lub orłem w czekoladzie przywraca pamięć, a co istotniejsze – rozum. Oglądając tłumy ludzi, którzy bezmyślnie machają chorągiewkami, można sobie uświadomić, że patriotyzm ogłupia. Rozsądnych i kulturalnych na co dzień ludzi zmienia w szarą (lub biało-czerwoną) masę, która pokrzykując „Hurra!”, gotowa jest do działań, które byłyby śmieszne, gdyby nie były straszne. Patriotyzm jest zbędnym reliktem przeszłości. Zmumifikowaną ideą, grobowcem myśli, resztkami nieczystości po czasach, gdy hordy plemienne prowadziły wojny o wszystko, co popadnie, a najczęściej o kobiety. Bo przecież podział świata na państwa narodowe jest przypadkowym i krótkim epizodem w dziejach ludzkości – istniejącym nie dłużej niż 150 lat. Partie polityczne sprzed dwóch wieków zdecydowały się uświadomić ciemny lud, że teraz jest zbiorowością, a nie „tutejszymi”. Elitom w narzucaniu masom narodowości pomogła plemienna nienawiść ludu do wszystkiego, co inne i obce. Ukształtowany w XIX wieku patriotyzm jest więc rasizmem, nacjonalizmem i antysemityzmem ubranym w nowe językowe formy, żeby się brzydko nie kojarzył. Pozwala także ze spokojem ducha i z błogosławieństwem narodowego kościoła zabijać innych.

Tołstoj pisał: „Patriotyzm jest źródłem cierpienia ludzkości, nie opiera się na pragnieniu duchowej korzyści dla swego własnego ludu, ale jest bardzo określonym pragnieniem dominowania swego własnego narodu lub państwa nad innymi narodami i państwami. Z tego wynika pragnienie zdobycia dla własnego narodu lub państwa największych korzyści i władzy – rzeczy, które można osiągnąć jedynie kosztem innych narodów lub państw”.

Brytyjczycy po swoich imperialistycznych uniesieniach i masakrach urządzanych nie-Brytyjczykom w końcu to pojęli. Dlatego też tak dobrze żyje się tutaj wszystkim emigrantom, gdyż obnoszenie się z miłością do Wielkiej Brytanii uważa się za dziwactwo i rezerwuje dla miłośników BNP, którzy są czymś w rodzaju eksponatu zoologicznego. Polacy na gałęzi społecznej i

intelektualnej ewolucji wiszą niżej, wciąż na dźwięk hymnu dostając małpiego rozumu. Dzięki patriotycznym marszom i orłom z czekolady może się to jednak zmienić.

Autor: Radosław Zapałowski

Źródło: [eLondyn](#)

PRZYPIS

[1] Parafraza cytatu Lwa Tołstoja.